Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 37. POZNAŃ. 1845.

POEZJA.

Krakowiak.

Dziarskie chłopcy od Krakowa
Szczéra dusza, szczéra mowa
A tak dłoń skłonna do boju
Że aż drętwieje w pokoju,

Śliczniejsze jeszcze nad zuchy
Krakowskie nasze dziewuchy
Kraśne wstęgi u warkoczy
Jak bławatki, bławe oczy,

A kiedy się suną w tany,
Wnet jakbyś oczarowany,
W dziwne kręgi myśl się wpląta
Że w skok wymykasz się z kąta.

I do skrzypka ciśniesz z trzosa
I poprawisz w górę włosa
I piosenka raźna dźwięknie
Aż twéj druchnie serce mięknie.

Hejże w tany — tu swoboda
Bo tu stara serc pogoda
Boć tu jeszcze Polska stara
Boć tu dziarska nasza wiara.

Fr. Żygliński.

Wróżby Mazura.

Héj — hej! rumiano, rumiano
Słońce za bór zapada! —
Będzież to jutro rano
Wicher i mróz nie lada.

Héj — héj! wąską dróżyną
Zszedł się chłopiec z dziewczyną;
Spojrzeli, zczerwieniali: —
Oj, będą się kochali!

Héj — héj! w puszczy zielonéj
Ćmy się ptastwa zlatują,
A same kruki, wrony: —
Snać dużo padła czują.

Héj — héj! skry w ogniu trzeszczą;
Od zachodu, nad grzędą
Sroki na płocie wrzeszczą: —
Goście z téj strony będą.

Hej — héj! co noc za wieś
Biegą wyć w pustkach psi;
Lud szemrze w każdéj wsi: —
Będzież to, będzie rzeź!

Héj — héj! mały czy duży
Przeklina ciężki czas,
I lepsze czasy wróży: —
Wywróżą przecież raz!

Roman Mazur.

W starym piecu djabeł pali.

(Opowiadanie mojego dziadunia.)

(Dokończenie.)

Ale tymczasem panowie konfederaci, nie z bogdanką podgórzanką zawodzą kuligiem po starym Krakowie, ale z bogdanką szablicą. — A złota wolność, albo śmierć, to ich wiwaty, — a staropolska Maryi dziewicy pieśń, to ich nuta, — a wola boża i braterstwo, to ich grajkowie. — A jak im tam bywało grają? — jak hulali one ojce nasze? — popytaj starych dziejów. — Zawadziłać się i głupstwa kruszyna, — i kruszyna niepoczciwości, — ale Bóg miły daruje, boć to nie z serca, jedno z ślepoty, — bo też gorzko pokutujem za te nasze winy! — to też mospanie, będzie lepiéj i pogodniéj, i wam jeszcze, Bóg da, przyjdzie godzina hulanki.

Od Jmci pana stolnika krakowskiego, przybieżał goniec, że w mieście sprawiają się do boju, ale proszą o żywność, co braterski affekt. — Sprawa kusa, —

Apraxyn bij zabij smali cholewki do naszéj stolicy. — »Bogdaj mu przyszło na takiego odkosza, jak u mnie Bykowskiemu,« — zawiodł pan cześnik. — Hej panie Jurkowski, gadał daléj do podstarościego, — pójdź waść do śpiklerza, i wyładować mi co ducha pszeniczki 10 fornalek — a grzmić jeszcze prędzéj do Krakowa — pokłonić się — powiedzieć, pan cześnik posyła co Bóg dał, zanim sam przydąży. — Tak mi się godzi, — niech pożywają z Bogiem, a tłuką Moskwicina!....« I w godzin dwie niespełna, czterdzieści koników grzmi po miesiączku krakowskim gościńcem — szczęść Boże w drogę.

A była jak raz pomnę sobota, nam za nimi dopiero w poniedziałek, jeno świt. — Boć to wylecieć na boje, to nie na stypę do pana sąsiada, a ostawić na tym świecie dwa niebożątka sieroty, — ot tak ludziom na potyrankę — biesowi na igrzysko, — to nie sztuka, to i grzech śmiertelny mospanie. A pan cześnik jak się zawziął w pięknéj zelozyi, tak ogień nie ogień, woda nie woda, odbiedz wszystkiego, a iść bić wroga postanowił. — Jejmość i Józia, ledwo od łez nie roztopnieją, ledwo nie poschną z żałości, ale tylko płaczą — nie proszą,... boć to choć przystoi niewieście, Polce nie przystoi.... Więc stało się — ale wprzód trzeba oprawić gniazdo — pomnieć też co i o przyszłości; — i panu Bogu się oddać, i panom braciom sąsiedztwu polecić chudobę. — Więc w niedzielę rankiem, walim do Koszyc.

„Ej nie bierz korda — rzeknie mi pan cześnik — łaskę bożą nie zdobywać, ale uprosić.« — A mnie coś jakby zagadało w duszy: »Ej weź!« — Strzeżonego, pan Bóg strzeże, — nie zawadzi, a poradzi w złéj dobie! więc wziąłem, i za prawdę, anielski był to głos.

Przyjeżdżamy — w kościele ludzi bożych jakb' nabił, szlachty braci huk — a wszystko strojno — odświętnie, ale nabożnie — przystojnie, zwyczajnie jak w domu bożym. — Więc ksiądz proboszcz — panie świeć tam jego duszy, poczciwe człeczysko, Polonus z ciała i z kości, —jak wyciął kazanie o konfederacyi, co to ha! — to aż wszyscy pobeczeli się jak bobry, a potém jaki taki ledwo ze skóry nie wyskoczył od passyi — toż jak potém zaintonował suplikacye za narodową pomyślność, to aż kościół ledwo nie rozwalił się, tak odhuknęła szlachta. Więc potém pan cześnik rzeknie: »Jedźcie sobie waćpaństwo do dom; — ja tu mam jeszcze z księdzem proboszczem i z kilku pany braćmi pogadać rzeczy kilkoro, — więc potém na waścinem gniadoszu poczłapię za wami — a waść zasiądź moje miejsce w dryndulce.«

Zgoda!... dali pan zgoda!... kiedy krew młoda po żyłach jak ogień, — i młode serce, nie takie jak dziś, żal się Boże spruchniałka — upije się — oszaleje z kretesem, usiąść ot tak bliziuteńko — oko w oko nadobnéj bogdanki i jeszcze by zgody nie było!

Więc suniem drogą — potém w lewo wedle karczmy — potém ku lasowi — potém w las... A trzeba waści wiedzieć, że lasek to był i dorodny — i cienisty onego czasu — dziś tam przeniczka ... co tam intra parentesim, że z niéj chleba nie ma przyczém upiec, — co tam, kiedy się i agronomowi Niemcowi dogodziło — i swego czasu cudzodziemskie komedyantki napasło sowicie. — Ale nam do lasu nie do starych komedyi, co się skończyły tragedyą. — Owoż tedy przez las walim sobie i walim z ostra — fornal szkalmierzak tnie z bata aż drzewa jęczą — mamunia drzemie w jednem kąciku, stara ciocia w drugim, — i my sobie mospanie z Józią śpiemy, ale snem innym — szczęśliwszym; — i nam ziemia drapnęła z przed oczu — mój Boże — i jak drapnąć nie było, kiedy przed niebiosa! — Co matunia utnie żyda nosem, to ja całusa musk w łapkę pannuńci; a potém w śliczne ramiączko, — a potém w śliczniejszą szyjkę — a od szyjki do buziaka, jeden tylko skok — ej — albo kapucyn albo starosta — mama nie widzi — musk! . — Jezus Marja! . . wszelki duch . . czy to kara boska czy się piekło wywarło na świat! . . Za całusem jak za hasłem, wszystek bór zagrzmiał w jeden wrzask: »Stój! stój!« karoca ucięta w miejscu jak o sęk — i w chwili mało pół kopy — ba sześć kroć więcéj panów szlachty — nie szlachty — hajduków, przywaliło biedne szkapy — fornala — dryndulkę, jak piechotna szarańcza podolski łan. — A byli wszyscy i zbrojno i strojno, i szablisto i rzęsisto od złota a karmazynu, jak na gody i na bójkę i na zajazd, i na weselisko, — i wszyscy wyskakując w koło tatarskiem tańcem, wrzeszczeli jak opętańcy powszednią śpiewkę: stój stój! — oddaj pannę!... Kusa rada dumam sobie; — niewiasty jak niewiasty w dudki, więc nuż chwytać mnie za ręce — za nogi, — broń broń! ratuj!.... a tu o ratunek trudniéj jak w stepie o wodę — misero mihi! — pono na kwaśne jabłka tu przyjdzie. — Niech przyjdzie jak chce sobie, — panie Boże daruj stare grzechy, ale co ja, to nie daruję na sucho mojéj pannuńci.

Więc kruciutko — rzewniutko westchnęłem do Pana Boga, — potém serdecznie uścisnąłem moją augustowkę, potem serdeczniéj drugą dłonią rączkę Józiną, i śmignąłem gracko jak sośniak z nad karocy.

»Trafiła kosa na kamień mospanie chłystku, wrzeszczał, któżby inny, jedno mój Bykosio, śmigając mi

przed oczy kordem, jak chłopięciu straszydłem.—Hej z woza mospanie dobrą wolą jak człek, ażaliście ze złą, jak pies nie chętliw. — Nie dla lata sanna — nie dla waści panna! . . . .«

»Ale dla waszmości zapłata, być winną jak dla każdego raptora — zbuju! . . . . Aleś szlachcic jakom i ja — broń się po szlachecku.«

A w tém Bykowski miast odpowiedzi, po złodziejsku łap za rękę moję bogdankę — krzyknęła — pobladła, alem ja krzyknął tężéj: »Wara złodzieju, nie tykaj! .« i tężéj zawinął augustówką na cztery wiatry, jak woda młyńskiém kołem, — i ani by cię zbroniła mój panie Bykowski twoja wspaniała pycha — ani wspanialszy ród antenatów, ani najwspanialsza misiurka, coś nią podfutrował rogatkę, gdyby Pan Bóg nie zmiłował się nad twoją grzeszną duszą, a nie chciał ją potępiać w hańbie.

Hajduk mospanie, czy ki licho, co stało wedle niego, przypadkiem, czy z umysłu odtrącił go w bok, i na wylocie od kontusza skroiła się cała bieda. — Jam chciał poprawić—poprawiłbym, jak mi Bóg miły, —kiedy nagle silny raz z stylu zwalił mnie na ziemię, jak kamień, i w lot dziesięciu ciurów i pacholików, runęło na mnie istno kundle na zgonionego odyńca.

Stało się pomyślałem sobie, znać inna była wola boska, to mi jedno żal było — ho żal serdecznie, żem pobity bez odwetu. — Bądź że mi zdrowa moja duszko! . . i tak pomyślałem — nię tak zrobił! — spowili mnie serdecznie i szczerze własném pasem, ale nie spowili mojéj kawalerskiéj fantazyi.

»W imie boskie i téj pospolitéj rzeczy — wrzeszczę więc było co gardła, veto ac protesto wszelki gwałt i raptus, dokonany na téj szlachetnéj pannie. — Prawem i lewem mieczem i ogniem dochodzić będę onéj krzywdy, na wszystkich, i każdym z osobna coś tu jest! . . . Czcią i krwią każdy mi opłaci! . .«

A oni głośnem śmiechem odpłacili za moje wołanie, więc szyderstwem zgnietli mi duszę, srożéj niż piersi młyńskiem kamieniem. — A tam z karocy moja poczciwa Józia, wyciąga do mnie bieluchne rączęta, oczkami kwili do Boga i ludzi ratunku, lub śmierci ze mną. — Pan Bóg wysoko — ludzie głusi — jam bez siły, a Bykowski nad nią jak jastrząb nad gołębicą. — Ale nie, — on ją chce utulić — upieścić! . . ho moje dziewcze nie z wosku, choć śliczne jak lilja — zwinne jak sarneczka. — Za całusa w buziaka, jak go nie pocałuje, ale rączką w mordę, od tak aż mlasło po gaju tak mu i mina zgasła, jak lampa przed słońcem. — Tak to — in ipso tartaro sund ridicula jak mówią, — i to rozśmieszyło, ale nie pomogło. — Gorzko mi było, — więc wiłem się w piasku jak wąż skaleczony. — »Ruszaj krzyknął zapyrzony oporem szlachcic. — Ratuj Jasiu! . . — przez Boga ratuj! — zabrzęczało, istno pszczółka nad kwieciem. — Próżny ratunek! — o mojaś już słodka panno! . . i twój amant, i sam lucyper, nie wydrze mi ciebie! — jakem szlachcic nie wydrze! . . Ruszaj i hajducy podcięli konie.

»Stój! . . krzyknąłem jak tonący, — panie Bykowski, jeszcze jedno słowo! . . a jeśli waszmość nie Turkiem, nie psem, nie żydem — nie przechrztą! jeśli jeszcze choć aby jedna kropla krwi szlacheckiéj chodzi po twoich żyłach, słuchać go musisz . . musisz . .«

»Stój! — słucham ażali tak; odbił Bykowski drząc wszystek od złości. — Powstrzymano więc konie jak wryte.

»Mospanie Bykowski, — popragnąłeś waszmość wydrzeć mi oblubienicę — gadałem hardo, dźwigając się z ziemi, — dobrze wydzieraj ażaliś mocny, i do tyla złośliwy, — ale wydzieraj jak szlachcicowi przystoi — z bronią w dłoni, oko w oko — szabla w szablę, — nie zdradą — nie złodziejstwem! — Była by wola boża? kiedy już padło takie fatum, było by szczęście z twoim kordem. — Alećwaszmość raptor! — Chciałem bić się z tobą — wyzwałem w imie szlachcicowskiego klejnotu, tyś uciekł tchurzu, a mnie użył z mańki! — To niegodno — przez Bóg żywy nie godno mospanowie! — Na stronę prywaty — ale w imie téj pokalanéj szlacheckiéj czci, — wszém obec i każdemu z osobna, ogłaszam i manifestuję Bykowskiego, ażali w téj chwili nie stanie ze mną jak poczciwiec do boju, jako bez czci i wiary tchurza — infamisa, podszytego w szlachecki klejnot! . . tak mi Jezu Chryste dopomoż — tak mi wolno — bom ci i ja szlachcic! — I jak mi Bóg miły, splami się każdy co go dotknie, — i jak mi Bóg miły, każdy, co zamilczy przed światem tę sprawę, czy ja żyję, czy umrę, weźmie na się jego hańbę! . . Dixi. — I wszyscy milczeli — jakby grobnica padła im na usta, i nastała chwila cicha — długa. — Jam oczy jak dwa noże wbił w oczy szlachcica, — i wiercił szyderstwem jak świdrem, — a szlachcic co pojrzy było ku dziewczęciu, to pobłednie jak śnieg — co hlanie ku mnie, to pokraśnieje jak karmazyn. — Aż na źrenice wystąpiły mu łzy istno perły — więc zerwał się jak wściekły — i jak wściekły sunie z karocy.

Ha droższa mi cześć szlachecka, jak wszystkie niewiasty i szczęście na tym świecie! — Broń się — zabij! — ale wara ci mówić, że Bykowski podły! . . . Zwyciężysz? twoja dziéwka, — pobiję? — ujrzysz ją, ale aż chyba tam w niebie! . . .

Verbum nobile, zagadnąłem — potrząsając augóstówką, kiedy mnie już spuścili z powojników

Nobile verbum mospanie! — Nobile verbum! odhuknęlim wszyscy. a teraz broń się...

Broń się — bij się — mnie nie mówić dwa razy, a jeszcze kiedy pojrzę ku karocy, — a tam moja Józia z złożonemi rączęty klęczy jak aniołek, — i jak aniołek śle za mnie paciorki do nieba. — W imie ojca i syna!... — i runęlim na siebie istno dwie chmury.

Nie długo trwały czuby.... Pan Bóg poszczęścił; — niechcęcy, jak liznę od lewicy, tak mój Bykowski z rozpłatanym łbem zwalił się na ziemię jak długi. — Panowie szlachta do niego w ratunki, — i jam cisnął szablicę — ze łzą i szczerotą poskoczył ku niemu, i uklęknął — i serdecznie prosił daruj!.. daruj!..

On mi podał prawicę — daruj i ty wyjąknął . . . Zasłużyłem — zapłaciłeś... Módl się... chciał jeszcze znać coś mówić, — jeszcze pojrzał ku karocy jakoś dziwno żałośnie, — i język zabełkotał tylko niezrozumiałym bełkotem... Myśmy poklękali, i szczerze prosili — Panie nie pomstuj grzesznéj duszy.., on ścisnął nieboże raz jeszcze dłoń moję — zadrgnął strasznie.. i stało się...

I dziaduniowi z za źrenić wyszły dwie łzy jak dwie gwiazdy — po czole rozwlekła się szeroka ciemna chmura — jak mglany tuman nad zachodniem słońcem. — Zamilknął... tylko po oczach — po licu dziwne jakieś, nieme echo dusznéj pieśni migało.

Niech śpi w pokoju — aż dobił z końca, otarłszy łzy wylotem od kontusza; — jak mi Bóg miły, jam nie winien krwie, — jedno bies co go podkusił, — *co zapalił w starym piecu...* quod erat demonstrandum.

Jak się tam potém działo, — jak panowie szlachta sromali się swego postępku, przepraszali pana ojca — panię matkę, — i pannuńcie i mnie, — jak przywalim do dom, jak potém na długo pożegnalim się znowu, — jak długo jak krwawo, z panem Puławskim Kazimierzem, z panem marszałkiem Sawą, po częstochowskich murach, po Lanckoronie, po Tyńcu dobijałem się mojéj Józi u matki ojczyzny, szeroko by o tém gadać; — ale zaświadczą te blizny, żem się dobijał po szlachecku, po staremu — i poczciwie. — I dobiłem się mospanie!... W pięć latek potém, o téj saméj porze — tym samym szlakiem walim było z moją Józią z Koszyc z kościoła od szlubu na weselisko do państwa ojców, — i w tym samym lesie razem wysiadłszy, westchnęlimy za duszę szlachcica. *St. Ch.*

Czy potrzeba zważać nietylko na umiejętności ale i na prywatne życie ludzi, których za wykształconych uważamy?

Sądząc żyjących dziś mężów uczonych z pism i książek, które wydają, sądząc ich z ogólnéj opinii, jaka zdala o nich krąży, iż to są ludzie, którzy dla dobra ludzkości, dla szczęścia swych współrodaków poświęcają swoje umiejętności, swoje znaczenie i rozliczne wpływy, swoje dochody, czas i samo nieomal życie; tworzy się piękny w nas obraz ich doskonałości, t. j. miły nam wielce obraz nietylko ich wielkich i pięknych myśli, ale i ich godnego życia, święty prawie obraz ich poświęceń czynionych nie dla zwyczajnéj chwały, ale dla bezinteressownéj bliźniego miłości, któréj nie pragną roztrębować po świecie — bo czyny prawdziwéj miłości chrześciańskiéj dostatecznie ich w duszy uszczęśliwiają. Czysty ten obraz owych światłych i cnotliwych mężów wrasta w naszą duszę, jest nam wszędzie przytomny, uczy nas poznać i polubić godniejsze człowieka życie, zachęca a raczéj nakazuje nam naśladować tych prawdziwych ludzi, których uwielbiamy i za wzór życia oświeconego i uczciwego innym wskazujemy, w których widzimy zebraną całą oświatę, piękność, chlubę i zaszczyt narodu. Ani wątpimy, iżby ich życie osobiste, domowe i prywatne, a tym mniéj publiczne, nie miało być takiém, jakiemi są ich słowa i nauki. Wszelkie uczynki ich zdają nam się być tak proste, jasne i cnotliwe, iż nieznośnie by nam było, najmniéj powątpiewać o ich zasługach.

Przytrafi nam się, żądać czego od nich, jako od najgodniejszych ludzi stojących na czele narodu, to w naszéj prostéj myśli zupełnie na nich polegamy. Jesteśmy pewni skutku naszych do nich zaniesionych prośb. A jeśliby prośba nasza była taka, iżby uskutecznioną dziś być nie mogła, to spodziewamy się po nich, przynajmniéj szczeréj, niewykrętnéj i nieobłudnéj odpowiedzi i rady. Anibyśmy przypuścić mogli do głowy iżby oni dobrą rzecz — innéj bowiem przedstawić im nie śmielibyśmy — mieli lekce ważyć, lub nią pogardzać, albo nakoniec dla tego tylko naszą prośbą się zająć, iżby przez to świat oczy swe na nich zwrócił i ich chwalił.

Ale gdy interes lub jaka okoliczność poda nam sposobność, bliżéj się z nimi stykać, i ich myśli względem nas lub innych osób lepiéj poznać, ich obchodzenia się z nami z bliska doznawać; gdy na ich uczynki i mniemane zasługi możemy się dłużéj i bez uprzedze-

nia zapatrzyć; gdy ich poznamy przez osoby ich otaczające i będące świadkami domowego i sąsiedzkiego ich pożycia; gdy się dowiemy o różnych ich stósunkach z rozmaitemi osobami, przez co odsłaniają się delikatniejsze strony duszy ludzkiéj i przez co spada wszędzie zresztą starannie na siebie przywdziana maska — słowem gdy się na ich życie z bliska zapatrzymy; natenczas z żalem się przekonywamy, jak sprzeczny był nieraz nasz obraz i sąd o nich z ich rzeczywistością. Żałujemy, żeśmy ich tak poznali, bo się obawiamy, abyśmy wreszcie i o sobie nie zwątpili. Ich mowy, pisma i książki pełne mądrości, szlachetności, cnót i poświęceń, pełne pochwał dla cnót obywatelskich lub domowych, pełne nagany dla samolubstwa i podléj zwierzęcości; książki i pisma, któreśmy z takiém uniesieniem i radością odczytywali — ze wzgardą i prawie z gniewem odpychamy od siebie, jako słowa i zdania, których się autór nauczył, jako wyrazy bez życia. Zdaje nam się natenczas rzeczą niepodobną, znieść na sercu taką ironią, taki przekąs. Nie możemy pojąć, jak mogła miłość samolubna sławy autorskiéj, miłość swędliwéj chwały, wygórować nad miłość bliźniego i ojczyzny!

Ktoś pisze lub mówi np., że rznij prawdę i o resztę się nie pytaj, chwali tęgość ducha, siłę wewnętrzną, którą śmiało oprzeć się potrafi wszelkiéj niesprawiedliwości, która nie ma względu na osobę niechby i najbardziéj w społeczeństwie uprzywilejowaną, ale ma jedynie wzgląd na prawdę i śmiało ją wyznaje; a gdy ta sama osoba dopomnieć się ma prawdy i sprawiedliwości dla kogoś lub dla dobra publicznego, to okaże się człekiem słabego charakteru i słodko grzecznym. Aby śmiałem wyrzeczeniem prawdy nie obrazić nikogo na siebie, zezwoli milczkiem na rzecz niesłuszną. Nie musisz więc człowiek taki stać się koniecznie w mych oczach ironią tego, co pięknie prawił? Ztąd też pochodzi, iż wielka część świata dzisiejszego tak już przywykła do wszelkich twardo, bez uczucia wyrozumowanych rzeczy, że choćbyś jéj mówił z najszczerszego serca to, co istotnie w głębi twéj duszy i woli wyznajesz i w całém twém życiu wykonywasz, co zmierza jedynie dla szczęścia nie idealnéj ojczyzny ale dla szczęścia współbraci w ojczyźnie, to przecież twe słowa czystéj twéj wiary, przyjmie zimno, jako zwyczajne słowa wyszukane w twéj głowie, albo też wstrząśnie szyderczo ramionami po przeczytaniu ich.

Słyszysz znów, jak ktoś szeroko i jakby z zapałem rozwodzi się nad miłością bliźniego, miłością wzgardzonego ludu, a nie widzi równego sobie człowieka w biedniejszym swym krewnym, za którego się wstydzi, nawet nie widzi nieraz człowieka na obraz boski stworzonego w swéj żonie, którą swém suchem przekonaniem tylko za narzędzie swych uciech i wygód uważa; sługę swego albo służącą traktuje, jako dawniéj traktowano niewolnika, o tyle go tylko uważa za przydatnego człowieka, o ile on mu za narzędzie wygód służy; głupszemu niby gościowi, aby się tenże niby dziwił, przez to chce okazać swoją powagę i wielomożność, że swym sługom rozdaje jak najwięcéj głośnych rozkazów i częstuje ich częstemi łajaniami, którzy dla jego dogodzenia, przedali mu za kilka blaszek kruszcu swoją wolność i którzy niby nie mają tyle uczucia, iżby poznali to swoje poniżenie. Jak śmiesznie zdawać się nam np. musi, gdy kto noszący godło uczonego i mówiący, że trzeba godność w każdym człowieku uznawać i czcić, poniewiera swoich uczniów, jeźli jest nauczycielem, krzyczy i złości się na nich, a każe im milczeć, bo jako od wysokiego uczonego, milczkiem wszystko od niego przyjąć powinni, gdy jeszcze z tém się przechwala, mówiąc, że jest bardzo ostry (to znaczy surowy i dziki), ale go jednakże uczniowie kochają itp.

Lecz nie należy się pisać — powie nie jeden — takich szczegółów, bo jak dziś mówią: »*Nie na szczegóły, ale na ogół uważać trzeba,*« t. j. dosyć, że powiesz n. p. jestem dobrym Polakiem, trzeba w chłopie uznawać godność człowieka itp., choćbyć przytém żył najsromotniéj. Jest to bowiem — ich zdaniem — uraza osobista, gdy się mówi *o życiu;* lubo życie podobno jest czémś więcéj, niż wszelka mowa, rozprawy i książki. Dziś zaś żyj jak chcesz, rób co chcesz, bylebyś ładnie mówił lub pisał, bylebyś umiał się rozwodzić w ogólnych dobrych myślach. Ale któż popełni taką niedorzeczność i powie, że choć osobiste życie pojedyńczych ludzi jest nie najlepsze, choć części ogółu, choć szczegóły są schorzałe, ogół jednakże może być i jest dobry? Dla czegóż to Chrystus nie mówił tylko o ogóle, dla czegóż to nie nauczał tylko ogólników, ale wprost i śmiało wyrzekł każdemu prawdę i kazał najprzód zrzucić ze siebie grzechy, chcąc przyjąć światło; nie zważał na to, że to trąci osobistością, że to nie schlebia, ale obraża. Jezus Chrystus nietylko nauczał, ale sam na sobie wskazywał, jak żyć i śmiało zapytał się, czy mu może kto grzech jaki zarzucić? Jego zresztą nauka nie była zawarta czterema ścianami lub zamknięta w księgach; lecz płynęła z własnego jego żywota, była wolna i żywa, jak jego duch i życie.

Wielka część dzisiejszych uczonych uważa się za pochodnie całemu narodowi przyświecające — lubo naszém prostém zdaniem, ich światło trupiém jest, bo bez ciepła, bez życia —; uważa się w swéj samowiedzy za reprezentantów narodu. Jako więc reprezen-

tanci, zastępcy narodu, chcą, aby *jedynie* do nich należała sprawa narodu, do nich jedyne wydzielanie prac, przez które chciałbyś służyć ojczyźnie; o ich zatém łaskę starać się winieneś, bo bez niéj ani nic dla dobra powszechnego uczynić nie możesz, ani ci wolno; dla tego na ich łasce zupełnie polegać powinieneś, z pokorą na ich obietnice czekać, nie przypominać im się często, ani wiele im mówić, bobyś ich znudził. Strzeż się w ich obecności nietylko mówić odważnie, śmiało, t. j. w mocném przejęciu się twą prawdą, ale strzeż się nawet spojrzeć śmiało, choćby to było zupełnie w twéj naturze; bo tém wszystkiém ich niełaskę na siebie ściągniesz i nie uzyskasz tego, o co ich prosisz. Oskarzą cię o zarozumiałość, o nadawanie sobie zbyt wielkiéj powagi; a przecież twój rozum ani w porównanie iść nie może z ich sławą opromienionemi głowami, przed któremi znać powinieneś pokorę, ale nie tę, która znaczy chrześciańską cnotę, lecz będącą jakiemś łaszeniem się i po prostu mówiąc, grzeczną podłością. Oni uważają się czynem i to najwyższém, a ciebie biernością, to znaczy, że oni są istotną ojczyzną, a tyś dla téj ojczyzny narzędziem, czyli oni są ludźmi, a tyś robak nikczemny dla nich stworzony. Tak więc i ważnych ludzi nie wolno ci twémi prośbami niecierpliwić. Inaczéj dadzą ci cierpko uczuć, że już dosyć masz ich łaski — choćby tobie nie o ich łaskę, ale o słuszność i sprawiedliwość chodziło; choćbyś się do nich udał w najlepszéj jakiéj sprawie.

(Dokończenie nastąpi.)

KRYTYKA.

Die Atheisten und Gottlosen unserer Zeit

von

Friedrich von Sallet.

Leipzig. 1844. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

(Ciąg dalszy.)

Na tém to przewrotném i bezbożném pojmowaniu małżeństwa, nieuznającém, iż miłość do zawarcia małżeńskiego związku nieodbicie potrzebną a nawet konieczną polega ów bezwstydny zwyczaj afiszowania się po gazetach i po biórach adressowych w celu zawarcia małżeństwa. Osoba poszukująca tą drogą annonsową lub przez faktorów małżonka, wyzuwa się z wszelkiéj godności człowieczéj, i nie tylko sama swoją Mość, iż użyje trafnego wyrazu Trentowskiego, w błocie depce, ale i innym ku deptaniu pod nogi podrzuca. Wystawia się ona na widok publiczny jakby jaki towar, którego pierwszy lepszy przechodzień nabyć może, byle tylko zewnętrznym warunkom nabycia zadość uczynić był w stanie. Kobieta, co swój honór dziewiczy zupełnie nieznajomemu, lub mało co i to tylko powierzchownie poznanemu mężczyźnie jak wietrznica oddaje, lepiejby od razu publiczną nierządnicą została, gdyż i tak bez poprzedniego zawarcia związku duchowego pomimo błogosławieństwa kościoła niczém inném nie jest jak prostą nałożnicą. Kościół bowiem nie może tego uświętobliwić, co samo przez się świętobliwém nie jest. Świętobliwość małżeństwa nie od związania stułą zawisła, ale od połączenia się dwóch osób w miłości i w duchu czyli w Bogu. Że zaś połączenie się dwóch osób przed ołtarzem, nie zawsze jest zjednoczeniem się w Bogu, o tém nas dostatecznie źle dobrane stadła, a stąd wynikające separacye i rozwody aż nadto często przekonywają.

Jak małżeństwa powiększéj części z niskiego i bezbożnego stanowiska zawierane bywają, tak też i nadal swemu zaczątkowi odpowiednio istnieją, tak że się prawdziwa wiedza o bożéj treści małżeństwa rzadko kiedy w pożyciu małżeńskiém wewnętrznie rozwija a na zewnątrz wywija.

Mężczyzna koperczakując i szarmantując się do swéj przyszłéj połowicy, nadskakując i wykręcając się przed nią na jednéj pięcie, i tą zalotną gimnastyką, zapewne średniowiekowe turnieje zastąpić mającą, o serce a najczęściéj *o posag* swéj bogini się dobijając; ani pomyśli o tém, czy téż jego oblubienica na tym stopniu duchowego usposobienia pozostaje, z któregoby cały zakres jego pracy duchowéj i jego działania w świecie ogarnąć i pojąć mogła, natomiast tém się zwykle kontentuje, że będzie miał z niéj tęgą gospodynią, kucharkę, szwaczkę, praczkę, piastunkę dzieci, a przy tém też jeszcze i tak nazwaną przyjaciółkę. Swoje zaś wewnętrzne życie duchowe i zewnętrzne działanie w świecie, a więc to, co jego istotną godność człowieczą czyli jego Mość stanowi, z przed duchownego oka żony usuwa, a tylko swą szlafrokową i pantoflową osobistość jéj pieczy i miłości porucza i oddaje. Żona też, jak gdyby się o nic więcéj troszczyć nie powinna, poprzestaje na zabiegach i krzątaniu się koło téj szlafrokowéj i pantoflowéj osobistości; wylewa całą swoją czułość na tę czczą łupinę człowieka, a prawdziwego człowieka,

duchowo żyjącego ani zapragnie posiadać, mieniąc w swéj potulnéj skromności, że duchowe i publiczne czynowanie męża takich rzeczy dotyczy, które jéj pojęcie i rozum przechodzą. Jakże w takim związku zjednoczenie się duchowe do skutku przyjść może, kiedy się duch od ducha sam w sobie odgradza, i kiedy kobiecie wszelka sposobność odjęta, i wszelka styczność przecięta, za pomocą którychby swoje życie uczuciowe, w którém duch skrycie i jakby we śnie istnieje, w duchowém życiu mężczyzny do ockniónéj i świadoméj duchowości podnieść mogła?

Wszelkie takie dla filistrowskiéj wygody lub dla przypieckowego szczęścia istniejące stadła, które o najważniejszych i najwyższych sprawach całéj ludzkości nigdy nawet nie napomkną, które się od duchowego życia i duchowego rozwijania ogółu samolubnie wyłączają, a nawet ogólnemu przez zaparkanienie się w swéj egoistycznéj zaściankowości wprost sprzeciwiają, mogą wprawdzie do znośnego, i dla serc ciasnych swą ckliwą miławością wystarczającego pożycia posłużyć, ponieważ jednakże jedności w duchu, i nieskończoności ducha czyli Boga nieuobecniają i nie objawiają, bezbożnemi nazwane być muszą.

Tu to i kwestyą o małżeństwach mięszanych poruszyć wypada. Kościół katolicki opierając się, ile sił mu starczy, małżeństwom mięszanym, postępowałby zupełnie słusznie, gdyby krok ten ze sprawiedliwego i na istocie rzeczy opartego powodu przedsiębrał. Ale czyniąc to tylko dla tego, aby swój system hierarchicznego wszechwładztwa, dogmatów i zewnętrznéj obrządkowości przy życiu zachował, nie ma słuszności, tak jak ktobądź słuszności mieć nie może, co coś w życiu i w rozwijaniu się duchowém odbytego i obumarłego w stęgłym kształcie mumiowym uwiecznić zamierza, i to co się, podług wysłowienia Libelta*), *»na opokę, stwargło,«* za coś żywotnego a nawet życiodajnego uważać każe. Co się przeżyło, to już odżyć nie może. Darmo, — taka konieczna koléj wszelkich instytucyi czasowych, że je po zupełném dojrzeniu, tak jak owoce z drzewa ludzkości strząsają, — potém jeszcze chwilę istnieją, aż w końcu zupełnie zgniją, i — już po nich na wieki. — Sama prawda trwa wiecznie. —

*) Zob. w zeszycie X. »Roku 1844.« na str. 11. — Cytując to miejsce jako z mojém przekonaniem zgodne, wyznać przecież muszę, iż się z szan. autorem charakterystyki filozofii sławiańskiéj co do pojmowania dalszego postępu ducha filozoficznego w wielu punktach zgodzić nie mogę. Poczytuję sobie za obowiązek w przedmiocie tak ważnym późniéj w niniejszém piśmie uwagi moje umieścić. *Przyp. autora.*

Jednakże i my z naszego wyższego stanowiska duchowego płochość i lekkomyślną pochopność w zawieraniu małżeństw mieszanych potępić musimy. Podług naszéj zasady powinno małżeństwo zjednoczenie się dwojga w duchu czyli w Bogu przedstawiać. Takiéj jedni atoli tam być nie może, gdzie każde z dwojga na wyraźnie innym szczeblu poznania Boga pozostaje, i nadal pozostać się upiera. Kto na tę różność nie zważając do zawarcia związku małżeńskiego przystępuje, ten albo religią za rzecz tylko potoczną uważa, która z całym człowiekiem, i z całém życiem człowieka w ścisłym związku nie pozostaje, albo też małżeństwo tak lekceważy, iż mu prawa do całego siebie, t. j. do całego swego wewnętrznego i duchowego jestestwa odmawia. W obu razach ateizm aż nadto widoczny.

Rozumie się, że tu nie tylko ze względu na te wyznania, które się dotąd historycznie wyrobiły i ustaliły, małżeństwa mięszane uważamy, ale raczéj w ogóle wymagamy, aby mężczyzna kobietę do tego samego szczebla wiedzy religijnéj podźwignął, do którego sam swoją pracą duchową wzbić się potrafił, i aby tylko taką kobietę, która z nim razem do równéj głębi poznania Boga zstąpić zdoła, za towarzyszkę życia obierał; inaczéj będzie małżeństwo zawsze dwojgiem w dwojgu, a nigdy w jednojgu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD PISM.

Poezye Alexandra Grozy

przez

ROMANA MAZURA.

(Ciąg dalszy)

Prócz tych dwu, któreśmy tylko co rozebrali, obszerniejszych tworów, dwa jeszcze pomniejsze, na podaniu gminném osnute, znajdują się w zbiorze A, Grozy: *Maryna, powiastka białoruska i Alina, legenda*. Pierwsza jest to po prostu baśń gminna, fantastyczna i różnobarwa, tu w wiersz ułożona. Jakkolwiek w obrobieniu jéj powtórzył autór wszystkie zwyczajne sobie, a przez nas już tu kilkakroć wskazane błędy, najmniéj zaś niespełnił wymagań, jakie słusznie rościć można do poety gminną przerabiającego powieść — nie wzniósł jéj do szczytnego znaczenia, nie ozdobił, nie oblał własnéj wyobraźni blaskiem, to przecież sama treść *Maryny* daje niezaprzeczoną jéj wartość; zwłaszcza, gdy nie stósowne wtrącania się autora nie są tyle liczne, by bieg prosty rzeczy zupełnie obłąkać i zaćmić*). W drugiéj, zlanie po-

*) Jako próbę dziwnej śmiałości (że się wstrzymam z stósowniejszém słowem) z którą koterya wileńska chwali i pod obłoki wznosi nawet najmniéj godne tego, twory swoich: przytaczam tu słowa wydawcy Rubona, Kaźmierza Bujnickiego, jako przypisek do Maryny umieszczone:

dania znanego o Madeju z innemi w nową całość najnieszczęśliwiéj się powiodło; a do zwykłych wad pisarza dołączyło się tu jeszcze kilka miejsc dowodzących zupełnego braku pojęcia, wielkiéj niezdolności na polu Ludowéj poezyi. — Oto są dwie zwrotki!

»Na miejscu naszych pasterskich multanek,
Zacząłem w ręku strojną arfę nosić;
Z razu po wioskach, potem miastach głosić
Co najpiękniejszą z kochanek.
Chwali mnie szlachty i rycerzy koło,
Maryli imię brzmi po całym kraju,
A ona za to oplata me czoło
Marnemi gałązki maju . . . .«

Te słowa jakby żywcem z jakiéj niemieckiéj wyjęte ballady, włożył autór w usta tradycyjnego zbuja Madeja. —

Starosta Kaniowski, powieść ukraińska, ze trzech złożona części, zajmuje trzecią część całego dzieła. Przedmiotem jéj głośny z srogości i szaleństw Mikołaj Potocki, którego życie dotąd już tyle piór w poezyi szacie ukazać usiłowało, a co jedno to gorzéj, że wreszcie samo nazwisko jego za złą wróżbę dla pisarza brać trzeba. Niniejszéj powieści treścią: miłość starosty. Wiejska prosta dziewczyna *Hanna;* zajęła tak silnie serce groźnego pana, że zalewie ją zobaczył posiąść zapragnął. Hanna przecież, niewiadomo jakim sposobem, zdołała ujść rąk drapieżnych; wściekły od gniewu starosta nakazaje ścigać zbiegłą. *Szulak*, kozak nadworny, wykonawca i wspólnik pańskich bezprawiów, twardy i srogi, lecz namiętny i hartownéj duszy, puszcza się w pogoń i dogonia biedną. Lecz piękne oczy Hanny, w jednéj chwili kruszą kamienne jego serce; — zakochany, miasto ofiarę oddać w szpony swego pana, uprowadza ją tajnemi szlaki w skrytą ustroń wśród skał niedostępnych. Tu w opuszczonéj, samotnéj chacie staréj wieszczki czy czarownicy, ukryta młoda dziewczyna oddaje się cała zbawcy swemu, często w tajemne przybywającemu odwiedziny, i szczęśliwą zostaje żoną. Ale tajemnicę kochanków odkrywa przed dzikim starostą żyd, ulubieniec jego a śmiertelny wróg Szulaka: i wnet piękna Hanna w zamkowych uwięziona komnatach, czeka rychło sromotnych żądz ma się stać łupem; — mąż jéj w podziemnéj ciemnicy szarpie się z ciężką męczarnią niewoli, samotności i rozpaczy. Wierna Hanna ze wzgardą odpycha zaloty łupieżcy, aż raz wśród nocy szczęśliwie zbiedz się jéj z więzienia udaje. Nadchodzący świt zastaje ją jeszcze na zamkowym podworcu, — przerażona, kryje się w gęstwinie cierni grodzącéj mury warowne. Ale wkrótce z podziemnego więzienia dochodzi ją jęk znanéj piersi. — Szulak to konał katowany na torturze. Po śmierci ukochanego, nieszczęsna niewiasta znowu więziona, jeszcze stale nikczemnéj opiera się chuci; darmo Kaniowski postrachem i łaską chce wymódz powolność, darmo rękę własną ofiaruje — aż wreście zniecierpliwiony, w chwili pijanego szału, strzałą krwawą przeszywa nieskalane serce. Po dokonanéj dopiero zbrodni zgryzota szarpie sumienie, skrucha wstępuje w duszę jego; w klasztorze Poczajowskim na pokucie grzeszne kończy życie.

»Uderzony poetycznością kilku prostych śpiewów, powziął z nich myśl pierwszą do napisania nowego rodzaju poematu, poematu—skazki (jak go nazwał Pan Kraszewski), mieszczącego w sobie miejscowe podania gminu, obrzędy i zwyczaje, w bajce błyszczącéj fantazyą Arjosta, a razem od odbijającéj wiernie ducha podań i obyczajów Ludu w całéj jego naiwno-poetycznéj postaci Ze takim bezsprzecznie poematem jest Maryna Pana Alexandra Grozy, zgodzili się na to dwaj najznakomitsi znawcy PP. M. Grabowski i I. J. Kraszewski.

Otóż szkielet poematu. — Ale szkieletowi temu autor niedał ciała coby się z niém wiązało w nierozdzielną całość, barwną, ruchliwą, żyjącą; nagość tylko jego okrył powieszanemi szmatami, i na wzór dziecka mniemał, że za żywą uda osobę swój utwór, — że pod różnobarwnym okryciem niedostrzeżony ujdzie brak duszy. Szmaty te rozwieszone — to ustępy rozlicznego rodzaju nieporządnym natłokiem całą zalewające powieść, po największéj części bez żadnego z nią związku. Treść ich tak mnoga, tak coraz nowa, że słowa, które na początku niniejszego przeglądu powiedziałem o *Kaniowskim zamku*, dadzą się zastósować do *Kaniowskiego starosty:* i tu jak tam plotą się wszelkie żywioły ukraińskiego bytu — kozaczyzna, pańskie, szlacheckie życie, i życie gminu, i podania jego; i jak tam wśród obrazów zewnętrznego świata wikłą się liryczne lub walkę wnętrzną namiętności kreślące ustępy. Zamęt w powieści *Grozy* panujący, Goszczyńskiego dziki przypomina bezład; nawet ów właściwy sposób autora Kaniowskiego zamku, obznajmiający z wypadkami zachodzącemi czytelnika za pomocą rozmownych puszczyków, znalazł tu odbicie w rozmowie nocnéj upiora, wilkołaka i biesa. Nietrudno by więc było pomiędzy obu temi dziełami wskazać pokrewieństwo bliskie, — gdyby świeży twór od dawniejszego nie w najważniejszéj rzeczy; gdyby z tamtym nie różnił go zupełny brak poezyi. Ztąd kiedy *Zamek Kaniowski* rozbierać jako dzieło sztuki, rozkrywać, dostrzegać tych genialnych błysków myśli i prawdziwego natchnienia rzetelną jest rozkoszą i niezmiernie korzystném zajęciem z wszech względów, — rozbiór krytyczny *Starosty Kaniowskiego* niejedno byłby męczeńską pracą a marną, lecz co więcéj, gruntownie biorąc, jest niepodobieństwem. *Goszczyńskiego* bowiem poemat jest jak różnofarbna tęcza — każdy z odrębnych żywiołów każda z osobnych cząstek przy całéj wyraźnéj barwie własnéj, tak umiętnie zlewa się z innemi, że rozdzielić ich niezdołasz, tylko w jednéj prześlicznéj wstędze uważać je musisz, a im dłużéj uważać będziesz, tym silniéj podziwiać mistrzowską przyjdzie ci rękę. U niego, widać, że każda myśl, każde pojęcie, podanie, wspomnienie wpierw było w sercu nim użyć ich zapragnął: i przeto gdy je w twór swój wciela każde z nich wychodzi żywe mu z piersi, gorące od jego ducha, owiane nim, przesiąkłe. Przeciwnie *Groza:* ten twórczego nie pojął zadania; słyszał czy widział, że w życiu podań, w ogarnieniu rozlicznych strumieni życia, wielka poezyi leży potęga, ale nieznał koniecznych warunków, bez których w dziele tworzenia kroku uczynić niepodobna. On nic niebierze z wewnątrz, wszystko zewnątrz siebie. Całą jego robotą wzięte przedmioty z niezmiernego obszaru życia ścisnąć w szrankach książki, bez najmniejszego usiłowania połączenia ich ze sobą, choćby tylko tak, jak łączy cieśla dwu bali końce w węgiel jeden. Każdy szczegół inną tu ma miarę, inny ton, inny punkt i kolor światła: — wrzawa z takiego zbiegowiska powstała, może mieć jaki interes, może być przedmiotem rozpoznania we względzie sztuki?

(Dalszy ciąg nastąpi w Nrze. 40tym.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień we Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*